ŚWIAT PRZYGÓD

Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA

Nr 3 (2099) 11 stycznia 1972 r. Cena 50 gr.

ORYKSY z pustyni NAMIB

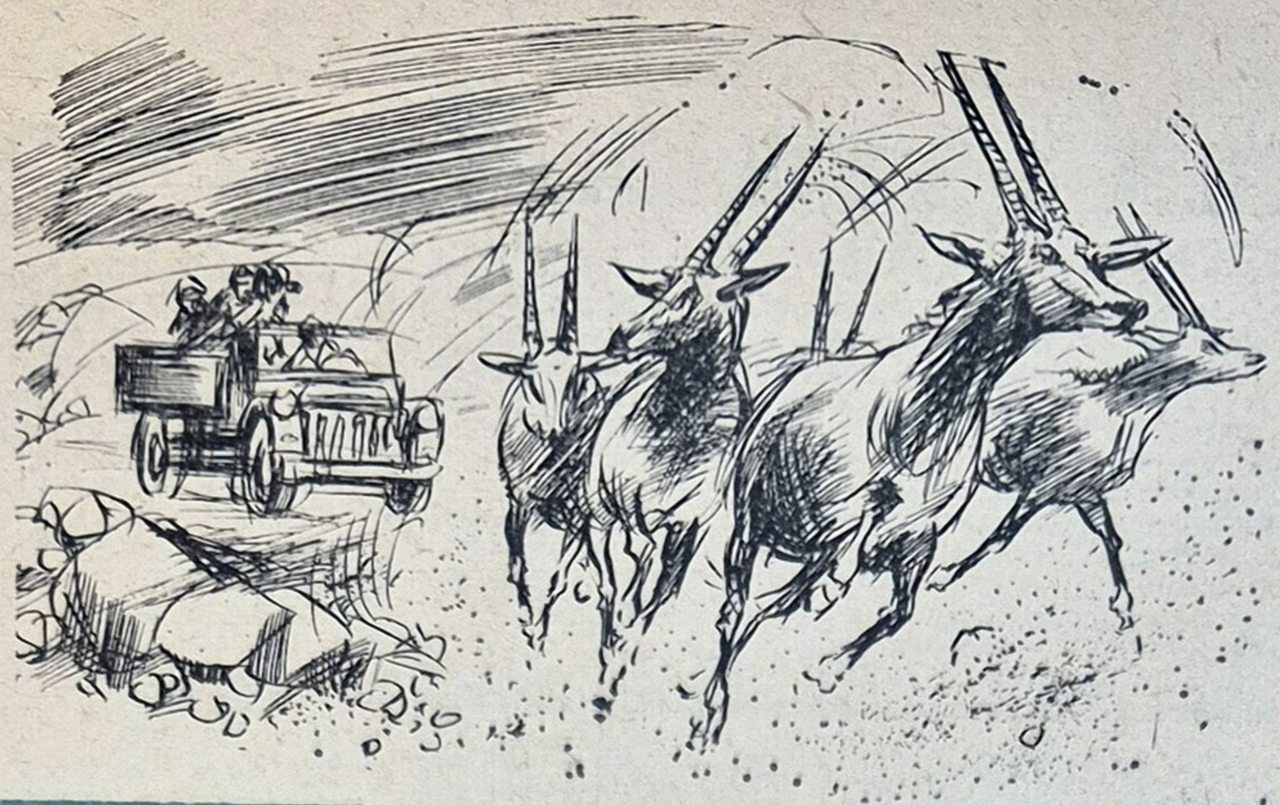

NAD BRUNATNYMI SKAŁAMI drżało gorące powietrze. Wydawało się, że jeszcze chwila, a w płucach zabraknie oddechu. Okres długotrwałej suszy dał się we znaki i nielicznym, stałym mieszkańcom tych terenów. W poszukiwaniu pożywienia i odrobiny wilgotnego piasku, z którego można by było zlizać kroplę rosy, oryksy kierowały się ku brzegowi Atlantyku.

Rześki podmuch oceanu dotknął twarzy pasażerów „Landrovera" natychmiast, gdy samochód wynurzył się na odkrytą przestrzeń.

— Spójrzcie! — doktor Anthony dał Manuelowi znak, by zatrzymał samochód.

U stóp smugi piaszczystych wydm stało stadko antylop z gatunku oryks. Ich ukośnie skierowane w górę, proste rogi sterczały jak dobrze wyostrzone długie paliki.

C. d. na str. 4–5

PYTAJ – ODPOWIEMY

„Między mną a kolegą zaistniała różnica zdań w sprawie wyjazdu do NRD. Twierdzi on, że od 1 stycznia br. każdy może wyjechać do naszych zachodnich sąsiadów bez paszportu, ja natomiast uważam, że dotyczy to osób, które ukończyły 16 lat. Proszę o autorytatywną odpowiedź".

Jerzy Kulik
z Częstochowy

DO NRD TYLKO Z RODZICAMI

● Tak, Jurku, ty masz rację. Dzieci i młodzież do 16 lat mogą wyjeżdżać do NRD tylko razem z rodzicami lub prawnymi opiekunami. Muszą być jednak wpisani do dowodów osobistych swych rodziców. W wypadku, gdyby obywatel polski w wieku poniżej 16 lat chciał samodzielnie wyjechać do NRD, musi posiadać paszport.

Przy okazji parę innych informacji: Młodzież w wieku 16—18 lat może wyjeżdżać do naszych sąsiadów na podstawie tymczasowych zaświadczeń tożsamości. Natomiast od osob dorosłych wymagane są tylko dowody osobiste, ale poświadczone specjalnym stemplem w komendzie powiatowej, dzielnicowej lub miejskiej Milicji Obywatelskiej. Uzyskanie tej pieczęci jest bezpłatne.

Kurs oficjalny marki NRD jest następujący:

1 marka = 4,78 zł. Przy wymianie pobierana jest jednak 30 proc. opłata turystyczna. Tak więc łącznie z tą opłatą za 1 markę płaci się 6,21 zł. (b)

Tak wygląda fragment nowoczesnego centrum stolicy NRD. W głębi, po lewej, widoczna jest słynna wieża telewizyjna, na której znajduje się obrotowa restauracja. Foto: CAF

Czy tego wymaga PRZYJAŹŃ?

KILKA TYGODNI TEMU wydrukowaliśmy list pewnej siódmoklasistki zatytułowany „Czy tego wymaga przyjaźń?". Opisywała ona zdarzenie ze swojej klasy: Aga dostała dwójkę z matematyki, a jej przyjaciółka Krysia, chcąc jej pomóc, ukradła i zniszczyła dziennik klasowy. Podejrzenie padło jednak na Agę, która domyśliła się, że jest to dziełem Krysi i wzięła winę na siebie. Została ukarana, ale ani słowem nie powiedziała o tym przyjaciółce, nie dała jej do zrozumienia, że to przez nią.

Siódmoklasistka napisała, że zazdrości im przyjaźni, która je łączy, ale jednocześnie zadała pytanie, czy naprawdę przyjaźń wymaga tego, co zrobiły Aga i Krysia. Oto pierwsze listy, które nadeszły w tej dyskusji:

KAŻDA CENA JEST DOBRA

● **Myślę, że postępowanie Krysi jest w pełni usprawiedliwione z punktu widzenia przyjaźni, bo choć jej czyn był nieuczciwy to jednak postąpiła tak, jak w jej pojęciu powinna postąpić prawdziwa przyjaciółka. Krysia wypełniła swój obowiązek. Bo, moim zdaniem, tego właśnie wymaga przyjaźń! W imię tej prawdziwej**

C. d. na str. 3

PUŁAPKA NA... PROMIENIE SŁONECZNE

Czajnik z wodą nakryto zwyczajnym z wyglądu szklanym kloszem i wystawiono na słońce. Po pewnym czasie, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, woda w czajniku zaczęła się gotować.

Jak to się stało? Otóż cały sekret tkwi w specjalnej cieniutkiej błonce pokrywającej od wewnątrz szklany klosz. Błona bowiem przepuszcza promienie słoneczne tylko w jedną stronę — pod klosz. Dlatego właśnie gromadząca się wewnątrz energia cieplna może nawet spowodować zagotowanie się wody w czajniku.

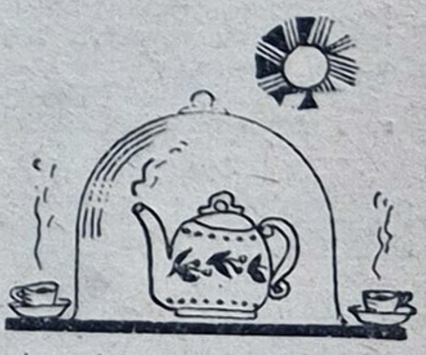

Szkło pokryte błonką (wynalezione w Moskiewskim Instytucie Energetycznym) nosi nazwę szkła selektywnego. Jakie może mieć zastosowanie ten wynalazek? Trudno przewidzieć dziś wszystkie możliwości, ale specjaliści wymieniają m. in. szklarnie, cieplarnie, oranżerie...

(wg „Sow. Sojuza" — b)

ZDROWIE DLA 6,5 MILIONA

JESZCZE nie tak dawno leczyć się na wsi nie było łatwo. Ośrodki Zdrowia położone daleko od wsi, często o 15 i więcej kilometrów, nie zachęcały rolników do częstych odwiedzin u lekarza. Trzeba było stracić cały dzień. Ośrodków było mało, kolejki duże. To zniechęcało. Rolnik nie nawykł do stałej opieki lekarskiej. Jeszcze dzisiaj spotkać można wsie, gdzie wizyta u lekarza staje się problemem. Z czasem poprawiła się jednak komunikacja, wybudowano więcej szpitali i placówek sanitarnych. Coraz częściej wizyta w szpitalu nie jest ostatnią deską ratunku, gdy zawiodły już wszystkie inne miejscowe sposoby. Teraz, kiedy zniesione zostały opłaty za leczenie i kiedy lekarz ma stać się na wsi częstym gościem, stan zdrowia rolników będzie się z pewnością poprawiać. Sprawi to z pewnością także ustawa, która weszła w życie z dniem 1 stycznia br. i zrównuje rolników w prawach do świadczeń socjalnych z innymi grupami zawodowymi.

WYSTARCZY ZAŚWIADCZENIE z GRN

Wieś była do tej pory pod pewnym względem upośledzona. W mieście leczenie jest bowiem bezpłatne, a leki można kupować — jeśli ktoś jest ubezpieczony — po cenie znacznie niższej niż rzeczywista. Na wsi tego nie było, bo ubezpieczenie wiązało się dotąd z pracą w zakładach pracy ubezpieczonych w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Tymczasem nasze rolnictwo w przeważającej części jest indywidualne. Stąd rolnicy w wypadku choroby musieli płacić za każdą wizytę u lekarza i za leki. A przecież praca w rolnictwie jest również społecznie niezbędna i tak samo ważna, jak w każdej innej gałęzi gospodarki. Jest to poza tym praca bardzo ciężka. Dlatego też, chociaż gospodarstwa rolne prawie nadal traktuje się jako indywidualne warsztaty pracy, to jednak ogrom zadań społecznych, jakie przed rolnictwem postawiono (rozwój rolnictwa decyduje przecież w dużym stopniu o naszym dobrobycie) spowodował, że również ludność wiejska otrzymała prawo do bezpłatnej powszechnej ochrony zdrowia.

Wszystkie świadczenia służby zdrowia otrzymało bezpłatnie 6,5 miliona obywateli, dotychczas nie ubezpieczonych, a więc w zasadzie cała ludność naszego kraju objęta jest opieką lekarską na równych prawach.

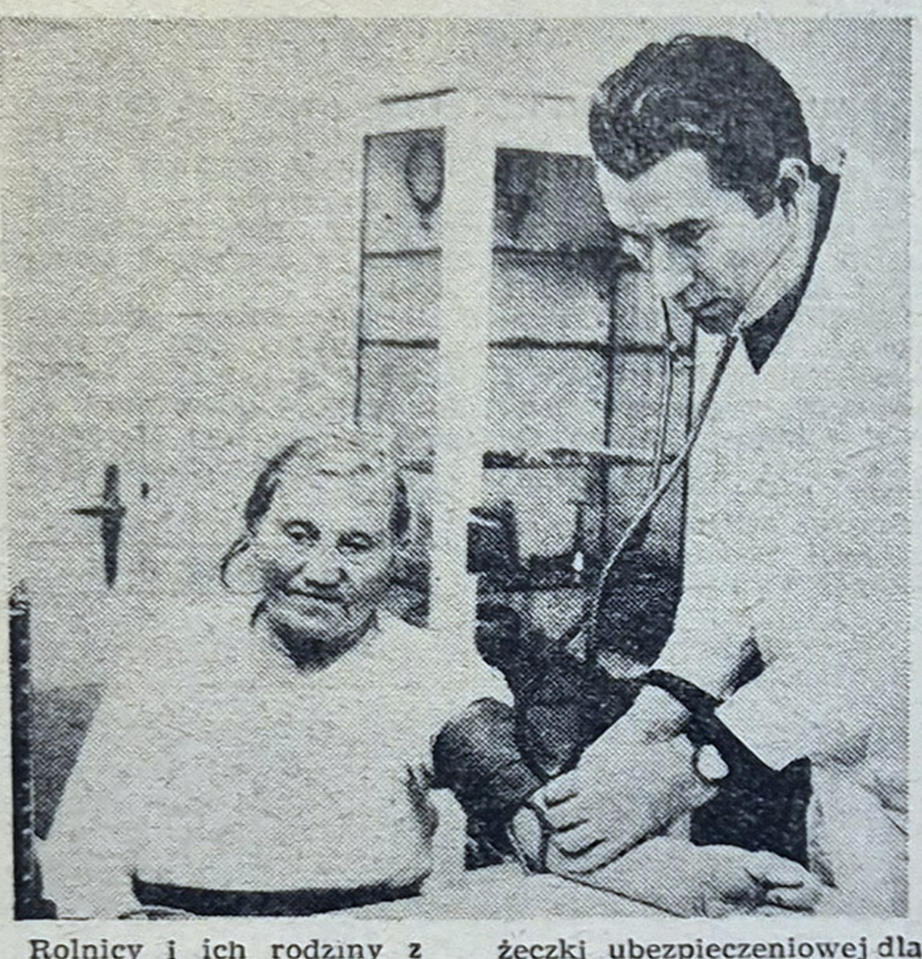

Rolnicy i ich rodziny z chwilą wejścia ustawy w życie, tj. od 1 stycznia 1972 roku, mogą bezpłatnie korzystać ze świadczeń profilaktycznych i leczniczych we wszystkich Zakładach Służby Zdrowia — od ośrodka wiejskiego, poprzez przychodnie specjalistyczne do szpitala włącznie. **Za leki płacić będą tak samo jak dotychczas płacą wszyscy ubezpieczeni z tytułu pracy zawodowej (30 lub 10 proc. wartości recepty).** Bezpłatne będą świadczenia pogotowia ratunkowego, zakładów ortopedycznych i innych tego typu. Bezpłatne będzie leczenie uzdrowiskowe w tzw. szpitalach sanatoryjnych, bądź też w uzdrowiskowych ambulatoriach.

Resort zdrowia planuje wydanie specjalnej książeczki ubezpieczeniowej dla ludności wiejskiej, na razie jednak, chcąc uzyskać bezpłatną pomoc lekarską, należy zaopatrzyć się w gromadzkiej radzie narodowej w zaświadczenie. **Winni je otrzymać zarówno główni gospodarze prowadzący gospodarstwo, jak też członkowie rodziny, bądź inne osoby w tym gospodarstwie pracujące. Prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej na wsi otrzymują także wszystkie dzieci i ludzie starzy, już w gospodarstwie nie pracujący.**

PRZYGOTOWANIA

WPROWADZENIE bezpłatnej opieki zdrowotnej na wsi będzie kosztować państwo w roku 1972 dodatkowo 1,6 miliarda złotych. Zwrot tych kosztów w postaci niewysokich podatków ubezpieczonych osób nie przekroczy jednak 0,5 miliarda. Reszta wygospodarowana więc zostanie z rezerw państwowych.

Do podjęcia nowych trudnych obowiązków służba zdrowia musi być oczywiście dobrze przygotowana. Dlatego też skierowano na wieś więcej lekarzy i innych fachowych kadr medycznych, pospiesznie kończy się budowę wielu nowych ośrodków zdrowia. Aktualnie pracuje na wsi 2540 lekarzy medycyny, 1812 lekarzy dentystów, ponad 4 tysiące pielęgniarek, 456 felczerów i ponad 1500 położnych oraz kilkuset farmaceutów. To, oczywiście, za mało. W planach na najbliższe lata umieszczono zatem budowę blisko 400 ośrodków zdrowia, skierowanie do pracy w nich co najmniej 500 lekarzy oraz kilka tysięcy innych pracowników. Przygotowuje się też szpitale powiatowe, które — jak się przypuszcza — będą najbardziej obciążone pracą. Do roku 1975 ma więc w nich przybyć ponad 5,5 tysiąca łóżek, a pogotowia ratunkowe zaopatrzone zostaną w nowoczesny sprzęt transportowy, pozwalający poruszać się w najtrudniejszych nawet warunkach terenowych.

DWUGŁOS O USTAWIE

Teresa Dałek-Goschorska, lekarz Spółdzielni Zdrowia z Lipowca, w pow. Mława:

— Będziemy mieli teraz o wiele więcej roboty niż dotąd. Ludzie często woleli cierpieć niż przyjść do lekarza i płacić za wizytę, a potem za leki.

Nie był to jednak objaw chłopskiego skąpstwa, a po prostu rezultat zbyt kosztownej kuracji, zaś — jak wiadomo — w gospodarstwie każdy grosz się liczy i musi być rozumnie wydany. Jeśli więc rolnik miał do wyboru — kupić świniaka albo wydać pieniądze na leczenie, wybierał to pierwsze, licząc, że choroba jakoś przejdzie, natomiast za późno kupiony świniak to nie wywiązanie się z obowiązku wobec państwa i utrata dodatkowego zysku. Zresztą rolnik zawsze zdrowie stawiał na ostatnim miejscu. Może więc teraz będzie inaczej?

Zdzisław Nowiuk, rolnik z Kołpacz:

— Jestem zadowolony z tej ustawy. Bo jak nie być? Wiem, co to znaczy leczyć się na wsi. Kiedyś złamałem nogę. Kosztowało mnie to prawie 2 tysiące złotych; karetka pogotowia, szpital, wizyty u lekarza. A to było akurat na wiosnę, kiedy nie ma za dużo pieniędzy w domu, bo zbiory jeszcze daleko i człowiek tak sobie wszystko wyliczył, aby dotrwać skromnie do lata i jesieni, gdy plony zaczynają dawać pieniądze. Ale teraz to już nie strach chorować...

SAMOCHÓD I MIESZKANIE DLA LEKARZA

OSTATNIO postanowiono wprowadzić nowe formy zachęty do pracy na wsi. Lekarze wiejscy otrzymują specjalny dodatek do pensji, a także stałą dopłatę za używanie w pracy własnego samochodu. Ci zaś, którzy samochodu nie posiadają, będą mieli ułatwione nabycie go: szybko, poza kolejnością, na wiele rat.

Jeśli w ośrodkach zdrowia nie będzie mieszkań, lekarze i inni pracownicy służby zdrowia zatrudnieni tam, będą otrzymywać zwrot kosztów wynajmu lokalu u osób prywatnych. A rady narodowe zobowiązane są ponadto do zapewnienia personelowi służby zdrowia na wsi samodzielnych mieszkań, wyremontowanych i posiadających odpowiednie wyposażenie.

Kolumnę opracował: W. PIELECKI

Śmigłowce lotnictwa sanitarnego docierają obecnie do najdalej położonych wsi ratując zdrowie, a nieraz i życie tysiącom chorych.

Czy tego wymaga PRZYJAŹŃ?

C. d. ze str. 1

przyjaźni trzeba postąpić nieraz źle i nieuczciwie, trzeba wszystko poświęcić drugiemu człowiekowi. To jest właśnie sens przyjaźni.

Ala

GRANICE

● Przyjaźń Agi i Krysi była posunięta trochę za daleko. Bo przyjaźń nie powinna pociągać za sobą złych następstw, ale przeciwnie, powinna zapobiegać złu.

„Api"

OBOWIĄZEK?

● Aga nie miała obowiązku cierpieć za nierozważny krok swej przyjaciółki.

Ewa z Łodzi

DOBRE CHĘCI

● Wydaje mi się, że Krysia kierowała się szczerą chęcią pomocy najbliższej koleżance. A że zrobiła to w tak głupi sposób?! Czy chęć pomocy komuś kto jej potrzebuje może być zła?! Liczą się dobre chęci.

Agata z Katowic

NIC BEZKARNIE

● Myślę, że Aga postąpiła niesłusznie biorąc na siebie winę Krysi, bo w ten sposób przekonuje koleżankę, że można dalej postępować źle nie narażając się na żadne konsekwencje.

Wiktor

POMOC WE WSZYSTKIM

● Przyjaźń polega na wzajemnym pomaganiu sobie we wszystkim. A pomoc wymaga różnych rzeczy. Czasami trzeba niestety zrobić coś nieuczciwie, np. skłamać, aby osłonić przyjaciela przed karą.

Tomek z Grudziądza

NIE JEST ŁATWO

● Przyjaźń wystawia ludzi na różne trudne próby charakteru. Taki egzamin przypadł i Adze. Gdyby „wkopała" koleżankę okazało by się, że nie wytrzymała próby przyjaźni. Skoro wzięła winę na siebie, naraziła się na duże nieprzyjemności. I tak źle i, tak niedobrze. A naprawdę nie miała żadnego innego wyjścia, które byłoby bardziej rozsądne i dobre dla nich obu. Czy więc w ogóle warto się przyjaźnić skoro jest to takie trudne?!

Magdalena

*

A ty? Co o tym myślisz?

Co to jest przyjaźń? Na czym polega przyjaźń? Jak sobie wyobrażasz prawdziwą przyjaźń?

Klub Nastolatków czeka na wasze wypowiedzi. Na kopertach nie zapomnijcie zaznaczyć hasła dyskusji: — „Przyjaźń".

LABIRYNT

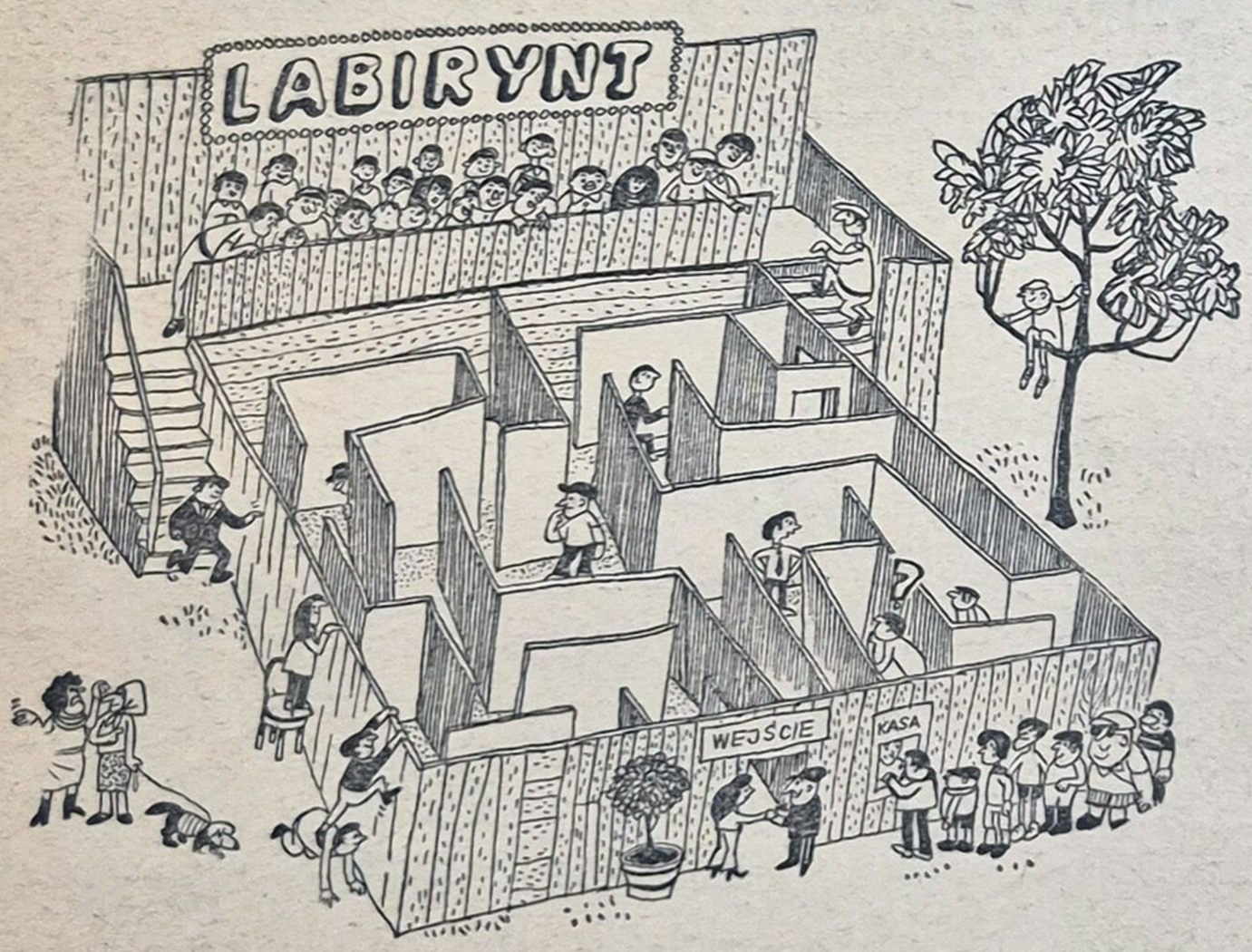

Pana **Nożyczko** — nauczyciela od zajęć technicznych — zna w Nudnowie każdy. Cóż dokonał pan Nożyczko, że zdobył sobie taką popularność? Właściwie nic, a jednak dużo.

Otóż pewnego razu wszedł do klasy i powiedział:

— Połowa klasy robi deseczki do mięsa, każdy za dwóch, według programu. Druga połowa buduje labirynt.

W ciągu tygodnia ze ścian starego baraku wybudowaliśmy labirynt, według rysunku pana Nożyczki. Nad labiryntem umieściliśmy galeryjkę obserwacyjną. Ściany pomalowaliśmy w różne cudeńka. Niektóre powtarzające się po 2—3 razy. Aby utrudnić orientację przechodzących przez labirynt. Przed wejściem ustawiliśmy klasę. Ufundowaliśmy nagrodę za przejście przez labirynt w czasie krótszym niż 10 minut.

Otwarcie labiryntu nastąpiło w niedzielę. Pierwszymi gośćmi byli miejscowi cwaniacy. Ze słowami — „co. ja nie przejdę?" — zarozumialcy wkraczali do labiryntu, aby po dwóch godzinach błądzenia skomleć o wyprowadzenie. Pierwszym, który przeszedł labirynt był ojciec miasta, ale trzeba tu zdradzić, że pan Nożyczko nieco pomógł przewodniczącemu w znalezieniu drogi.

Po przejściu labiryntu wędrujący wychodził na galeryjkę obserwacyjną i z góry mógł obserwować następnych wędrujących. Obserwatorzy z galeryjki wprowadzali w błąd labiryntujących, wskazując im złą drogę.

Po kilkakrotnym przejściu labiryntu niektórzy zapoznawali się z układem korytarzy i przechodzili w rekordowym czasie, zagarniając premię. Żeby nie dopuścić do bankructwa, każdej nocy przebudowywaliśmy ściany labiryntu.

Labirynt miał niekiedy społeczno-ujemne znaczenie. Zdarzało się mianowicie, że uczniowie młodszych klas tłumaczyli się w szkole: „Nie odrobiłem lekcji, bo zabłądziłem w labiryncie".

Pewnego targowego dnia do labiryntu wpadła maciora. Goniący ją gospodarz nie chciał zapłacić za wejście, twierdząc, że wypadek losowy zmusza go do wejścia, a nie chęć rozrywki. Cztery godziny ganiał gospodarz maciorę po labiryncie aż się oprosiła i cała nasza klasa szukała prosiat. Do dziś nie wiemy, czy wszystkie zostały wyłapane.

Po rozreklamowaniu labiryntu w prospektach turystycznych wzmógł się napływ turystów zagranicznych do miasteczka.

Pewien bogaty Amerykanin zabłądził w labiryncie i nie mogąc się wydostać kupił cały labirynt i wraz z nim został przetransportowany do Stanów Zjednoczonych. Za otrzymane dewizy ojcowie miasta założyli „Nowy labirynt", którego ściany były z plastykowych siatek, oplecionych powójką.

ALICJA WSZYSTKOWIEM

trębacza Martina. Powinni oni możliwie najprędzej do nas dołączyć. Zakładam, że od dawna załatwili się już z czerwonoskórymi. Niech przybywają natychmiast, ale to natychmiast!

— Według rozkazu, sir!

Custer widział jeszcze, jak trębacz odjechał. Następnie udał się z powrotem na pochyłość i podniesionym głosem ponaglał żołnierzy do większego pośpiechu. Znowu popatrzył przez lornetkę polową i obserwował przeprawę szwadronu. Ale to nie zajęło go zbyt długo. Na nowo zaczął się kręcić koło kawalerzystów, aż nagle do uszu jego doszedł przeraźliwy okrzyk trwogi:

— Generale! George, o, George! Czerwonoskórzy atakują!

To Tom krzyczał do swego brata. Custer na miejscu zawrócił konia i pogalopował na l -eg rzeki.

Oczom jego ukazał się przerażający widok. Właśnie pierwsi kawalerzyści dostali się na drugą stronę, gdy nagle nieprzejrzane masy Indian szerokim półkolem ruszyły przeciwko zaskoczonym Długim Nożom. Custer zrozumiał, że żołnierze nie zdołają się w żaden sposób oprzeć temu przemożnemu atakowi.

— Cofać się, cofać się przez rzekę! — zahuczał jego głos.

Zanim jednak przebrzmiały te słowa, piekło rozpętało się wokół niego. Ogień salw uderzył w gęsto stłoczone ciała ludzi i koni, a chmura strzał pokryła oszołomionych żołnierzy. Dziesiątkami spadali Mila-hanska z siodeł, konie stawały dęba i pędziły w dzikiej panice.

Powstał straszliwy zgiełk i teraz Indianie, na koniach i pieszo, rzucili się setkami na Niebieskie Kurtki. Wyprzedzał wszystkich naczelnik Gall. Gdzie spadał jego ciężki cios, tam zbyteczna stawała się wszelka sztuka lekarska.

C.D.N.

ERNIE HEARTING 12 tłum. B. Wojciechowski

SIUKSOWIE! MIEJCIE LITOSC NAD NAMI

Na północnym brzegu Little Big Horn-River, na wprost ostatniej wioski indiańskiej, ukryli się wojownicy Dzikiego Konia, Deszczowej Twarzy i Galla. Strome skały i dość wysoki lasek dawały jeźdźcom i koniom doskonałą osłonę. Gwałtowny zgiełk bitwy po drugiej stronie rzeki dochodził aż do czatujących Siuksów. Obok Sitting Bulla walczyli tam naczelnicy: Nakrapiany Orzeł, Wroni Pies, Chromy Jeleń, Hump, Jednoróg, Przytępiony Nóż, Mały Wilk, Dwa Księżyce, Prochowa Twarz, Czarny Orzeł i Długi Oszczep wraz ze swoimi wojownikami przeciwko oddziałom Rena i Benteena, odrzucając je na drugi brzeg Little Big Horn-River.

— Tatanka Yotanka jest naprawdę wielkim wojownikiem — szeptał Deszczowa Twarz do naczelnika szczepu Oglala — wie on z góry, co zrobią Mila-hanska. Tam poniżej, w dolinie, walczy on na czele

C. d. ze str. 1

— Wierzysz teraz, Bob, że ta antylopa nie boi się nawet lwa? — zapytał Anthony.

— Ależ, człowieku, przecież tu lwów nie ma...

Roberta niełatwo było przekonać. W duchu jednak przyznał, że zwierzę manipulując swoimi ostrymi rogami mogłoby skutecznie podziurawić nawet dużego drapieżnika!

Był to już drugi dzień pobytu ludzi na Pustyni Namib, ale pierwsze spotkanie z oryksami. Z tymi samymi oryksami, które od dłuższego czasu znajdowały się w kolizji z prawem. Wygłodzone suszą antylopy coraz skuteczniej dobierały się do pastwisk, którymi gospodarzyli hodowcy owiec-karakułów. Niszczyły pastwiska, a farmerzy odgrażali się, że wytępią oryksy co do nogi i pogróżka ta nie była czcza...

Doktor weterynarii, Anthony, mieszkał w Afryce Południowej od sześciu lat. Nie był w stanie walczyć z ohydą neokolonialnych stosunków panujących w tym kącie Afryki wśród ludzi, ale jako zoolog nie mógł nie spieszyć z ratunkiem zagrożonemu gatunkowi zwierząt! Zorganizował akcję ratowania antylop z Pustyni Namib. Teraz właśnie we trzech: z Manuelem – prawdziwym Afrykaninem z krwi i kości, o skórze czarnej jak hebań, i Bobem, czyli Robertem, przyglądali się przez lornetki antylopom.

— No, to jutro zabieramy się do roboty! — powiedział Anthony.

Pościg na pustyni

NASTĘPNEGO RANKA odkryty „Landrover" pojawił się wśród wydm dość wcześnie. Za kierownicą siedział Manuelo.

— Myślicie, że będą w tym samym miejscu? — zapytał powątpiewająco Bob. Na kolanach trzymał kamerę filmową. Za cenę kręcenia filmów musiał się biedak nauczyć trudnej dla niego sztuki robienia zastrzyków. Doktor Anthony stanowczo się uparł i nie wyraził zgody na zabranie przyjaciela na wyprawę, póki ten nie stał się bezbłędny we władaniu strzykawką! Dopilnował tej sprawy osobiście. Aby jednak i scena wykonywania zastrzyków nie została pominięta przez kamerę, Anthony dał Robertowi słowo, że parę razy zwolni go z obowiązku.

Stado oryksów, które napotkali, liczyło aż 12 sztuk! Wszystkie zajęte były skubaniem żółtej i niemiłosiernie wysuszonej trawy. Gdy wolno sunący „Landrover" zbliżył się na odległość około 30 metrów, antylopy strzeliły rogami w górę i zaczęły się szybko oddalać. Manuelo dodał gazu. Pędzili w kurzawie pyłu robiąc nagłe skręty to w lewo, to w prawo, byleby nadążyć

ORYKSY z pustyni NAMIB

za wybraną przez Anthonego sztuką. Gonitwa trwała chyba ze trzy kwadranse! Wreszcie antylopa była tuż i Anthony, wychylony z samochodu, pochwycił zwierzę za ogon. Gnali tak jeszcze kilkanaście metrów, osłabiony oryks zwolnił tempo. Z „Landroveru" wyskoczył Manuelo, aby zgrabnie złapać go za rogi.

Jak obezwładnić antylopę?

TERAZ BYŁA KOLEJ na Roberta. W pośladku antylopy musiał ulokować przy pomocy strzykawki porcję uspokajającego środka i — trzeba przyznać – zabieg ten wykonał całkiem zręcznie, mimo że oryks miotał się na wszystkie strony. Zastrzyk był nieodzowny! Bez niego transport do rezerwatu byłby szalenie trudny. Dla organizmu zwierzęcia specyfik był całkowicie nieszkodliwy, ale działał błyskawicznie! Antylopa zrobiła się otępiała i w takim stanie trwała kilka następnych godzin. Wszyscy trzej wciągnęli ją do skrzyni samochodu i bezpiecznie dowieźli do tymczasowej bazy. Była nią zagroda otoczona siatką i osłonięta matami, aby antylopy nie wbijały w jej „oka" rogów.

Sukces i egzotyka bezkrwawych łowów dzikich zwierząt tak zafascynował Roberta, że przez następne dni zupełnie zapomniał o swojej kamerze, toteż starannie owinięta, spoczywała w bezpiecznym miejscu w samochodzie pod siedzeniem.

Udało im się schwytać pięć oryksów. Doktor promieniał. Plan uchronienia tego gatunku antylop przed zagładą nabierał realnych kształtów! W zagrodzie, gdzie złowione zwierzęta oczekiwały na dalszy transport do odległego o kilkaset kilometrów rezerwatu, można było obserwować, jak głód zwycięża naturalny lęk. Oryksy jadły tę swoją suchą trawę rosnącą pośród skał i wydm; dostarczał jej czarny Manuelo.

Podczas pracowitych dni trójka przyjaciół mieszkała w namiocie, postawionym nieopodal zagrody. Największym mankamentem był ogromny chłód, jaki im doskwierał nocą. No i ta oszczędność wody...

Namib pokazuje pazury

OSMY DZIEŃ byli już na Pustyni Namib. Z rezerwatu, dokąd zabrano oryksy, otrzymali wiadomość, że antylopy nieźle zniosły podróż i znajdują się już na swobodzie.

Po nocy z niedzieli na poniedziałek, wyjątkowo przespanej nie w obozie, lecz w komfortowych warunkach hotelu w Usakos, gdzie zmienili ubranie i porządnie się wyszorowali po tych wszystkich piaskach, wyruszyli w poniedziałek w nader różowych nastrojach. Wkrótce zmroził ich przejmujący wiatr. To działał zimny morski Prąd Benguelski, omywający tę część zachodniego brzegu Afryki. Czasem dawał mgłę, błogosławioną zresztą na pustyni, teraz — ów nieprzyjemny wiatr.

— Dziś nie będzie nam gorąco! — zażartował Manuelo, starannie zapinając bluzę pod szyją. Anthony i Bob naciągnęli wymięte berety. Głowę Manuela chroniła krótko ścięta, ale nieprzebyta jak dżungla, czarna i skręcona szopa włosów.

Nie mieli szczęścia, przejechali kilkadziesiąt kilometrów, klucząc między wydmami i widzieli zaledwie parę strusi, to wszystko. Całkowicie natomiast stracili orientację i tylko wiejący od Atlantyku wiatr i słońce mogły być kierunkowskazem. Doktor nie dawał jednak za wygraną. Oryksy gdzieś się skryły, ale musiały być.

Kiedy zdarzyła im się ta fatalna awaria i nie mogli jechać dalej, było dobrze po południu... Przy wstrząsach urwała się płyta akumulatora i siedzieli wokół unieruchomionego „Landrovera" medytując, w którym też miejscu się znajdują.

Pustynia Namib ciągnie się pasmem szerokim na około sto kilometrów i długim na 1300. Nie wiedzieli, czy czeka ich marsz rzędu 50 km, czy dłuższy...

*

W 12 dni później, w gazetach afrykańskich ukazał się fotoreportaż pióra niejakiego Roberta Well pt.: „Zagubieni w Pustyni Namib". Zdjęcia przedstawiały wędrujących po wydmach... ludzi, nie oryksy.

Aparat i kamera filmowa były jedynymi przedmiotami, jakie Robert zabrał z zepsutego „Landrovera". Fotoreportaż w nieco obszerniejszym wydaniu ukazał się później wielokrotnie i w popularnych, ilustrowanych tygodnikach europejskich. Honorarium, jakie otrzymał Robert Well, zostało w całości przeznaczone na dalszą akcję przesiedlania oryksów z Pustyni Namib do rezerwatu.

ANNA GRZYBOWIECKA

Rys. M. Kościelniak

naszych braci przeciw wrogowi. Wszystko stało się tak, jak nam zapowiedział. Niedługo Niebieskie Kurtki pokażą się i tutaj.

I tak samo jak ci dwaj dowódcy, szeptali pomiędzy sobą ich wojownicy, wyrażając swój podziw dla Sitting Bulla.

Zarośla, poza którymi oczekiwali na wroga dwaj dowódcy, rozchyliły się. Młody wojownik wśliznął się bezszelestnie między krzewy i pnącza, i stanął przed dowódcami.

— Długie Noże nadchodzą. Naliczyłem dwadzieścia razy tyle żołnierzy, ile palców posiada każda ręka — zameldował przybyły.

Deszczowa Twarz popatrzył życzliwie na młodego zwiadowcę. Potem skinął z uznaniem:

— No, mój brat, Biały Bawół, posiada bystry wzrok orła. Wkrótce Mila-hanska odczują na sobie naszą broń. Nadchodzi czas.

Zwiadowca zniknął tak samo bezszeletnie, jak przyszedł. Teraz Ite-o-Magazu podniósł do ust dłonie złożone na kształt muszli. Cztery razy, w krótkich odstępach, zawył żałośnie szunkmanito, wilk. Było to umówione hasło, oznaczające zbliżanie się żołnierzy. Czatujący w zasadzce Siuksowie porwali za broń.

*

Mając przy boku Curleya, Indianina ze szczepu Absaroka, oraz kapitana Toma, jechał generał Custer na czele swych szwadronów w górę rzeki. Przed chwilą dołączył do kolumny w pełnym galopie porucznik Cook, adiutant, po przekazaniu majorowi Reno rozkazu dowódcy pułku, polecającego raz jeszcze działać jak najspieszniej. Również Custer i jego żołnierze słyszeli gwałtowny ogień karabinowy dochodzący z doliny. Lecz widok zasłaniały im gęste drzewa, poza tym urwiste brzegi ciągnęły się znacznie dłużej, aniżeli generał z początku przewidywał. Ludzie ani przez chwilę nie wątpili, że obecnie Reno i Benteen przyspieszyli swój marsz i niebawem zaatakują obóz.

— Oby tylko to przeklęte urwisko nareszcie się skończyło — wymyślał generał — gdzieś przecież musi być zejście do rzeki. Musimy na czas dojść do czerwonoskórych, inaczej taniec zakończy się bez naszego udziału.

Niecierpliwie popędzał swego konia. Nie wszystkie jednak wierzchowce mogły wytrzymać tak ostre tempo, toteż szwadrony bardzo się rozciągnęły. Wreszcie Curley wskazał na lewo. Strome brzegi obniżyły się tworząc jakby uliczkę, która prowadziła w dół prosto do rzeki i jak to Custer stwierdził z uczuciem ulgi, kończyła się dogodnym brodem. Nie zatrzymując się, czoło kolumny zboczyło w zagłębienie. Tuż nad brzegiem Custer ściągnął cugle swego konia i polecił zatrzymać straż przednią pierwszego szwadronu. Po czym przywołał wachmistrza Kanipe i posłał go do kapitana MacDougala z poleceniem sprawdzenia taboru amunicyjnego. Tymczasem dołączył pierwszy szwadron. Custer wskazał dowódcy szwadronu kierunek i polecił mu przeprawić się natychmiast przez rzekę.

Po drugiej stronie Little Big Horn-River ukazał się wojskom widok rozległego obozu złożonego z mnóstwa namiotów. Konni Indianie harcowali pomiędzy tipi, jak gdyby nie zdawali sobie sprawy z przybycia Mila-hanska. Custer przyłożył szkła i usiłował określić w przybliżeniu siły Indian. Nagle wyrwało mu się przekleństwo.

— Poruczniku Cook!

— Słucham, sir.

— Cook, czy nie uważa pan, że tam na dole zrobiło się nagle diabelnie cicho? Ani strzałów karabinowych, ani wrzawy bitewnej — po prostu nic! I wydaje mi się, jak gdyby Indian po tamtej stronie było coraz więcej. Miejmy nadzieję, że Reno i Benteen nie zlękli się własnej odwagi! Musimy mieć do nich zaufanie. Niech pan tam pośle

Nasze wywiady:

Trener Jegorow o polskim hokeju i „ZŁOTYM KRĄŻKU"

Efektowna parada bramkarza Tkacza. Obok asekurujący go obrońca Czachowski i Kacik. Polacy w białych kostiumach.

Na lodowej tafli w Pałacu Sportowym im. Lenina w Moskwie przystępują do meczu drużyny Szwecji i Polski. Szwedzi, aktualnie wicemistrzowie świata, są faworytem spotkania. Sędzia Karandin daje znak rozpoczęcia zawodów. Pierwsze minuty pojedynku są niezwykle nerwowe, zawodnicy obu drużyn nie wykorzystują wielu dogodnych sytuacji podbramkowych. Trener polskiego zespołu Anatoli Jegorow poleca swym podopiecznym krótkie krycie, tzn. każdy z naszych zawodników „opiekuje się" jednym przeciwnikiem w każdym miejscu pola gry, nie pozwalając mu na szybką jazdę. Szwedzi zdeprymowani taką taktyką Polaków zaczynają się gubić. Nasi przejmują inicjatywę.

W piętnastej minucie Kacik zdobywa pierwszą bramkę. Radość w polskim obozie ogromna. Jednak chwila rozprężenia wystarczyła, by Skandynawowie wyrównali. Tercja kończy się remisem.

Na początku drugiej Szwedzi obejmują prowadzenie, ale i ona kończy się remisem 2:2. W trzeciej tercji Polacy zdobywają dalsze dwie bramki. Zawodnicy „trzech koron" robią wszystko, by zmienić niekorzystny dla siebie wynik. Dzięki wspaniałej postawie polskiego bramkarza Andrzeja Tkacza i mądrej grze całego zespołu mecz kończy się naszym zwycięstwem 4:3. Na trybunach rozlega się głośny okrzyk: „zuchy". Polacy okazali się rewelacją turnieju. Trzeba jednak przyznać, że zwycięstwo, którego nie spodziewali się najwięksi optymiści, było zasłużone.

*

Możliwe, że ubiegłoroczny Turniej Moskiewski stał się punktem przełomowym dla naszego hokeja, który w ostatnich latach przeżywa poważny kryzys. Aby poprawić istniejącą sytuację Polski Związek Hokeja na Lodzie zatrudnił przed dwoma laty znakomitego radzieckiego trenera Anatola Jegorowa.

Trener naszych hokeistów Anatoli Jegorow.

— Za kilka tygodni rozpoczynają się XI Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Sapporo (Japonia) — mówi w czasie przerwy w treningu polskiej kadry narodowej Anatoli Jegorow, wielokrotny reprezentant ZSRR.

Aby móc walczyć w pierwszej szóstce najlepszych zespołów olimpijskich, musimy wygrać pojedynek z zespołem NRF. To bardzo trudny przeciwnik, ale sądzę, że pokonanie niemieckiej drużyny leży w naszych możliwościach. Moi podopieczni zrobili spore postępy i mogę zapewnić, że do kraju „kwitnącej wiśni" zabiorę dobry zespół. Oby omijały nas tylko kontuzje, które w hokeju, twardej męskiej grze, mają często miejsce.

Piętą achillesową polskiej reprezentacji jest defensywa. Wiem, że redakcja „Świata Młodych" organizuje turnieje „Złotego Krążka". Mam więc do najmłodszych łyżwiarzy wielką prośbę. Wszyscy chcą grać w ataku, strzelać bramki. Do obrony nikt się nie kwapi. Apeluję więc do uczestników „Złotego Krążka", którzy marzą o grze w hokeja: niechaj specjalizują się jako obrońcy. Nowocześnie grająca defensywa to przecież... atak. Jest ona inicjatorem wszystkich akcji zaczepnych, sama bierze w nich udział. Obrona jest mózgiem całego zespołu.

— Tak, trener Jegorow ma rację — dodaje Lucjan Czachowski, członek kadry narodowej, jeden z najlepszych obrońców w kraju. — Właśnie gra na tej pozycji daje mi największe zadowolenie. Nierzadko też strzelam bramki. Co do meczu z drużyną NRF jestem przekonany, że wygramy. Dwa poprzednie spotkania przegraliśmy, więc do trzech razy sztuka...

— Bardzo się cieszymy, że o „Złoty Krążek" „Świata Młodych" ubiega się tyle drużyn w kraju — mówi wiceprezes Polskiego Związku Hokeja na Lodzie, pan Jerzy Grzechociński. — Cieszy nas także stały wzrost poziomu rozgrywanych spotkań. Z tych młodych zawodników wyrosną przecież przyszli reprezentanci Polski. Zapewniam, że Związek dołoży wszelkich starań, aby nie zmarnować młodych talentów. Dla najlepszych w „Złotym Krążku" pali się więc zielone światło...

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Foto: M. Szymkowski

Bombowa sukienka

MAM ZMARTWIENIE, bo Jolka zapowiedziała prywatkę, a ja nie mam w czym pójść. Moja najlepsza sukienka już dawno przestała być najlepsza, a mama prosiła, żebym wymyśliła coś bardzo niedrogiego... No i myślałam, myślałam, i wymyśliłam! Będę miała nie jedną, a cztery sukienki, i to dwie wizytowe, strojne, i dwie skromniejsze, ale też bomba! Po prostu z czarnego mięciutkiego sztruksu mama mi uszyje bezrękawnik z suwaczkiem! I już mam jedną bardzo ładną. Mogę do niej nałożyć wisiorek, będzie wytwornie. A jeżeli włożę tę przezroczystą bluzeczkę, to już będzie zupełnie inaczej i jak modnie! A można na sportowo, mam przecież czerwony golf, zresztą każdy golf tutaj pasuje, no i te moje kolorowe pończochy, już sobie wyobrażam, że będzie wspaniale. Do sportowej bluzeczki, tej w kwiatuszki, przypnę pod szyją dużą czarną kokardę (to podobno bardzo modne). No i powiedzcie — bomba, co?

Kuba

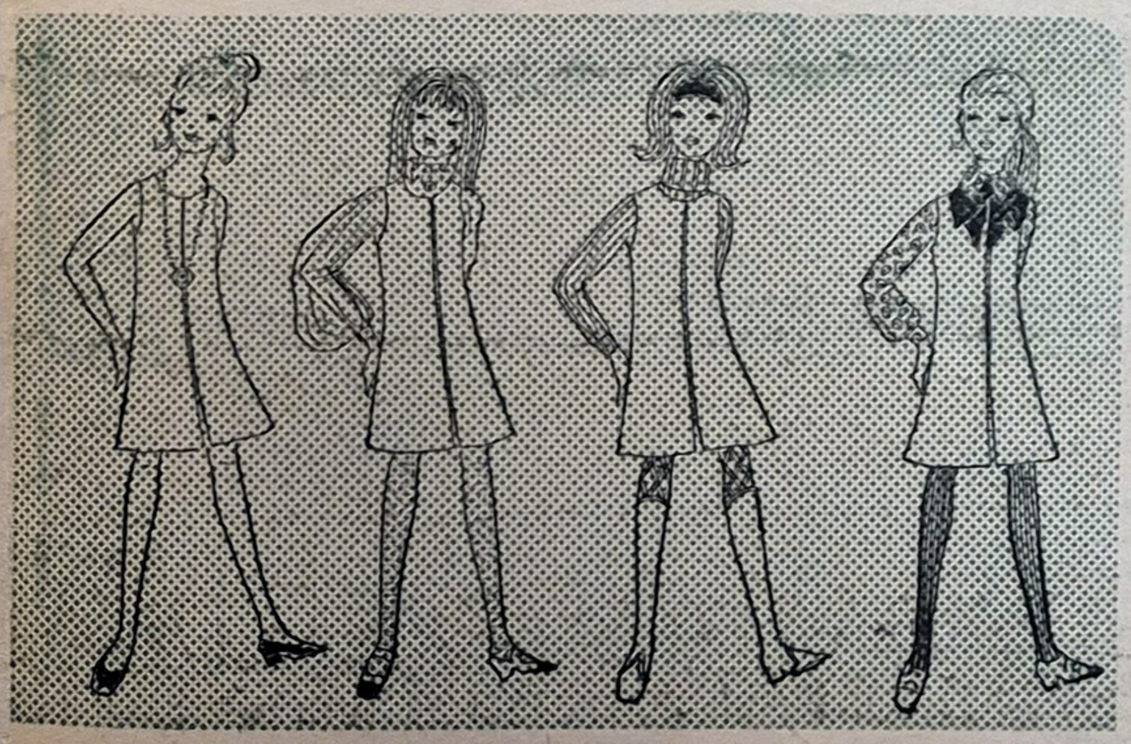

Polska na 20 miejscu

JAK WYNIKA z publikacji demograficznych ogłoszonych przez ONZ, liczba ludności na kuli ziemskiej osiągnęła w połowie 1970 r. 3 miliardy 632 miliony.

Na liście państw o największej liczebności dwudziestą pozycję zajmuje Polska. Tuż przed naszym krajem występują: Hiszpania, Egipt, Turcja. Na pierwszym miejscu znajduje się Chińska Republika Ludowa — 758 mln, następnie Indie — 550 mln, Związek Radziecki — 243 mln i Stany Zjednoczone — 205 milionów. Siódmą pozycję zajmuje Japonia — 104 mln, dziewiątą Niemiecka Republika Federalna — 59 mln.

W ciągu pierwszych 7 miesięcy 1970 roku ludność na naszej planecie powiększyła się o 71 milionów. W szybkim tempie rozrastają się miasta — żyje już w nich 34 proc. ludności świata. Aż 133 miasta osiągnęły powyżej miliona mieszkańców. Największym miastem świata jest Tokio, liczące 9 milionów. Następną pozycję zajmuje Nowy Jork — 7.798 tys. i Londyn — 7.703 tys.

Największy odsetek ludności miejskiej posiada Australia — 67,3 proc., następnie Stany Zjednoczone — 66,6 proc. i Japonia — 52,2 proc.

PRZYGODY Z CYRKU

FRI CO

3)

ANDRZEJ LACH
i MARIAN MANC

Rys. M. Majewski

ALE FAJNE! — zachwycał się Jacek. — Sam pan to wykombinował?

— Sam.

— Jak pan to robi? — dopytywał się Wacek.

— Zwyczajnie, widziałeś przecież — odpowiedział Aleksander. — Dzwonię do kiosku lub do budki...

Chłopcy roześmieli się. Wiedzieli, że Aleksander żartuje.

— Będzie pan robił taką repryzę? — zapytał Jacek.

— O ile dyrektor Migalski pozwoli. Dziś po przedstawieniu ma zobaczyć nasze scenki i zadecydować, czy puścić nas na popołudniówkę czy nie. Tylko nie mówcie o tym nikomu — zastrzegł Aleksander. — Nie wiadomo, czy co z tego wyjdzie, a nie chciałbym, żeby niektórzy robili z tego sensację. Nie lubię gapiów.

W nocy, gdy większość mieszkańców cyrku udała się już na spoczynek, na arenie odbył się zapowiedziany przez Aleksandra pokaz przed dyrektorem Migalskim. Dyrektor zaprosił na pokaz kilku artystów, którzy mieli stanowić jego ciało doradcze. Był Edward Nowak, Józef Górecki, Caroll, Orlicz i Alamar, a z zagranicznych artystów Arda i Francopollo. Fernando odmówił swego udziału w przeglądzie. Oświadczył, że zna możliwości Aleksandra, który zwracał się już do niego i że jego zdaniem szkoda tracić czas na oglądanie wyczynów nieodpowiedzialnych młodzieńców. Pomimo to krążył niespokojnie po placu i rozsunąwszy nieco ćwiartki rundu patrzył poprzez puste ławki widowni na to co działo się na arenie. Był bardzo niezadowolony, gdy przyłapali go na tym chłopcy, przekradający się do kabiny elektryka, by stamtąd, z ukrycia obserwować popis Aleksandra.

Aleksander występował przy pustej widowni, przed „wysoką komisją". Pusta widownia nigdy nie pomaga artyście, a wprost przeciwnie tremuje go i przeszkadza. Pomimo to scenki wypadały zupełnie poprawnie. Po obejrzeniu „radioodbiornika", „cudownego telefonu" i dwóch repryz mimicznych, zebrani orzekli zgodnie, że scenki mogą się podobać, są pomysłowe, a poziom występów Aleksandra, pomimo widocznego usztywnienia przez tremę, nie jest wcale gorszy od poziomu przeciętnych komików, występujących w programach innych cyrków. Przy pełnej widowni wszystko powinno wypaść znacznie lepiej. Wobec tego dyrektor Migalski zadecydował, że Aleksander wystąpi na najbliższym przedstawieniu popołudniowym, a w przypadku sukcesu, zostanie dopuszczony do programów wieczorowych, naturalnie po uprzednim uzyskaniu akceptu dyrekcji.

Pomimo upalnej pogody na popołudniowym przedstawieniu był „bity komplet" widzów. Aleksander bardzo denerwował się przed występem, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie. Peszył go ironiczny uśmiech klowna Fernando, który zdawał się nie dostrzegać go w garderobie. Wreszcie nadszedł czas pierwszego wyjścia na arenę, w czasie którego miał robić scenkę z telefonem. Wszystko przebiegło sprawnie do momentu rozmowy „z Marysią", ale gdy Aleksander podstawił szklankę pod słuchawkę i nacisnął ukryty guzik, oranżada nie pociekła. Nie pomogło potrząsanie słuchawką. Oranżada była w jej wnętrzu, ale nie wylewała się. Aparat zaciął się. Nie mający rytuny Aleksander „zbaraniał" i nie wiedział co robić dalej. Andrzej zrozumiał, że jest „wpadka".

— No i co z tą oranżadą? — zapytał, poza ustalonym tekstem, chcąc ratować sytuację.

— Pani Marysiu, co z tą oranżadą? — wołał Aleksander jeszcze raz potrząsając bez skutku słuchawką. — Acha, rozumiem, zabrakło. Wszystkie napoje wysprzedane — zaimprowizował.

Na widowni rozległy się tu i ówdzie pojedyncze śmiechy. Aleksander był mokry od stóp do głów ze zdenerwowania. Pomimo to przeszedł do części repryzy z papierosem. Niestety, papieros również nie wysunął się ze słuchawki. Rekwizyt całkowicie odmówił posłuszeństwa. Aleksander i Andrzej nie zakończywszy repryzy, zeszli z areny żegnani szmerem rozczarowania.

Jeszcze gorzej poszło z odbiornikiem. Początkowo publiczność bawiła się i śmiała z wygrywek Alek-

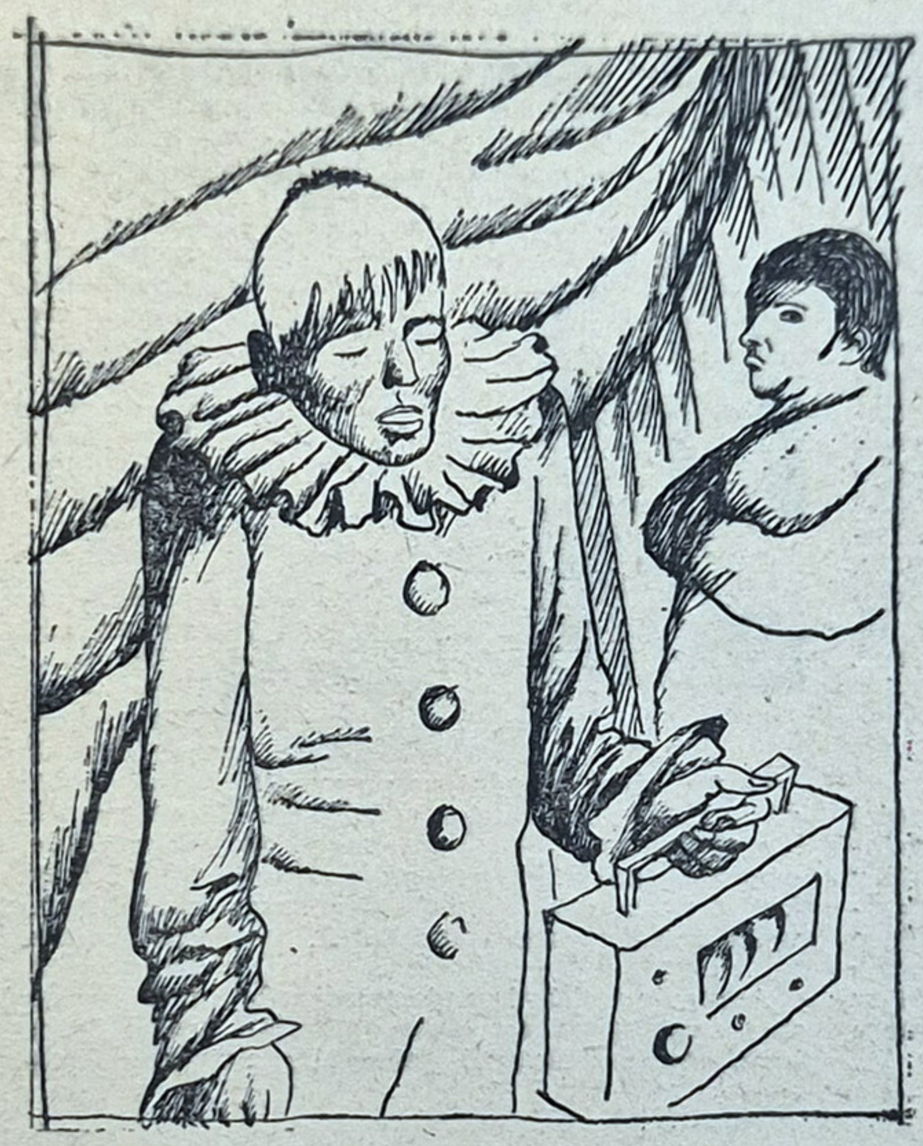

landra, który widząc, że wszytko idzie dobrze, „rozkręcił się" na całego. „Katastrofa" nastąpiła dopiero w momencie, gdy Andrzej „włączył" odbiornik. Po ściśle określonym czasie miały płynąć trzaski i piski z magnetofonu włączonego przez Andrzeja w czasie jego pobytu za kulisami. Potem każdy ruch miał być zsynchronizowany z dźwiękiem nagranym na taśmie. Aleksander przyjął odpowiednią pozę, ułożył usta i czekał. Czekał jeszcze długą chwilę nawet wtedy, gdy był już pewny, że nie popłynie żaden głos z magnetofonu. Wreszcie odwrócił się i bez słowa zszedł z areny. Na widowni rozległy się gwizdy i okrzyki „lipa". Andrzej rad nierad wyszedł za Aleksandrem. Konferansjer dał znak orkiestrze. Głośne dźwięki muzyki zagłuszyły okrzyki i szum na widowni. Występ Aleksandra zakończył się generalną klapą.

Aleksander był zrozpaczony i załamany. Nie było mowy o trzecim wyjściu po takiej kompromitacji. Klown Fernando sam zabawiał publiczność do końca programu.

Wśród artystów, biorących udział w niedawnym przeglądzie zapanowała konsternacja. Przecież wtedy wszystkie rekwizyty działały bez zarzutu. Aleksander nie potrafił tego wyjaśnić, nie wiedział, w jaki sposób zepsuł się rekwizyt telefonu, w jaki sposób zaciął się włączony przez Andrzeja magnetofon. Wszystko wyglądało na jakiś potworny zbieg przedziwnych okoliczności, na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Dyrektor Migalski pocieszał się tym, że wszystko na szczęście miało miejsce na przedstawieniu popołudniowym. Na samą myśl o skandalu, jaki mógłby wybuchnąć, gdyby Aleksander wystąpił wieczorem, aż mu ciarki przechodziły po plecach. Tylko Fernando triumfował.

— A nie mówiłem? — uśmiechał się ironicznie. — To są skutki wypuszczenia na manež nieopierzonych bocianów!

Jacek i Wacek, którzy bardzo lubili młodego Aleksandra i którym podobały się jego pomysły mieli ustaloną opinię o nieudanym występie.

— To Fernando popsuł rekwizyty Aleksandra — oświadczył stanowczo Jacek swemu ojcu.

— Skąd wiesz? — spytał Edward.

— No pewnie, przez zazdrość!

— Widziałeś, jak to zrobił?

— Nie, nie widziałem.

— Nie widziałeś, to nie mów byle czego, rozumiesz?

— Tato, to na pewno Fernando! — upierał się chłopiec. — Zobaczył, że na przeglądzie wszystko idzie dobrze, więc zepsuł rekwizyty.

— Fernando nie był na przeglądzie. Nie chciał przyjść.

— Tak? Nie chciał? A przez gradziny podglądał! — oświadczył Jacek triumfalnie. — Był ciekawy, co Aleksander zrobił bez niego.

— Skąd wiesz?

— Widziałem na własne oczy! Rozchylił rund i podglądał.

— Więc to tak? — powiedział Edward gniewnie. — Idziesz do łóżka, a jak ja wychodzę, wtedy wstajesz i chodzisz po cyrku? Poczekaj!

Edward nie potraktował poważnie oświadczenia syna, chociaż rekwizyty były rzeczywiście uszkodzone. Alamar oświadczył powściągliwie, że nie wie co o tym wszystkim sądzić, inni przypuszczali, że rekwizyty mogli uszkodzić niechcący sami młodzi artyści, w zdenerwowaniu przed występem, lub były źle wykonane i działały „z przypadku". Edward przychylał się do ich zdania, ale wstawiał się za Aleksandrem u dyrektora Migalskiego, by dać mu szansę zrehabilitowania się przed publicznością.

Jacek i Wacek nie zgadzali się z ogólną opinią. Byli święcie przekonani, że wszystkiemu winien był klown Fernando. Denerwowało ich i złościło to, że Aleksander, który chociaż po nieudanym występie stwierdził kategorycznie, iż rekwizyty same popsuć się nie mogły, później nie chciał z nikim mówić na ten temat. Zreperował rekwizyty i magnetofon i próbował nadal w tajemnicy przed wszystkimi. Jedynym świadkiem jego nocnych prób był stary dozorca Kamiński, ale ten potrafił trzymać język za zębami.

C.D.N.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. — 28-09 73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 10. A-49

CZARNY marszałek

Teksty: TIBOR
G. S. HORVATH
Tłum.: E. KŁOSIEWICZ
Rys. ERNO ZORAD
19

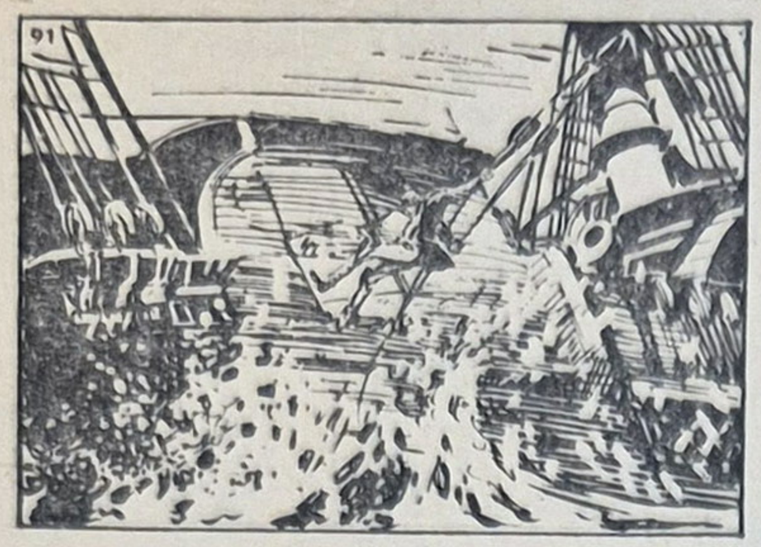

91. Łatwo spuszcza się po linie; okno kajuty jest już bezpośrednio przed nim. Ale nie może go dosięgnąć. Lina kołysze się jak wahadło. Co sekundę Vincent pogrąża się w morskiej pianie. Nie może złapać oddechu, zimna woda powoduje skurcze. Nie ma już siły wspinać się... ledwie się trzyma...

92. Toussaint wiele przeżył, ale nigdy nie zaznał jeszcze strachu śmierci. Ale teraz... Wichura wścieka się, statek tańczy opętany taniec... a drzwi kajuty są zamknięte. „Jeżeli zatoniemy, będą mieli inne zmartwienia niż zajmowanie się mną." Nagle szyba w oknie zabrzęczała...

93. Vincent nareszcie może powiedzieć wszystko, co od tygodni dręczyło jego duszę. „A więc Dessalines wiedział o moim uwięzieniu, a nic nie uczynił!" Marszałek nie dziwi się. Nie oczekiwał nic innego. Kiedyś obydwu łączył ten sam cel: walka o niepodległość. Razem ruszyli, ale drogi ich rozeszły się.

94. Generał odmówił zawieszenia broni, dalej walczył przeciwko Francuzom. Ale żeby tylko przeciwko nim...! Oblegał miasto Saint Marc. Cytadeli Maurepas bronił murzyński pułkownik, który rozumiał politykę głównego wodza: podporządkował się Francuzom, żeby ocalić swoją dywizję.

95. Gdy Toussaint dowiedział się o tej akcji napisał list do Dessalinesa z prośbą o zaprzestanie ataku. Użył licznych argumentów; to bezmyślność, co czyni. Goniec przebiegł drogę w śmiertelnym tempie Ale na próżno. Gdy dojechał do celu miasto było już wzięte.

ŚWIATŁO W GŁĘBINACH MORSKICH

WILLIAM BEEBE, jeden z pierwszych badaczy głębin morskich, osiągnął w roku 1930 w swej batysferze zanurzenie kilkusetmetrowe. Tak potem opisywał to, co widział:

„Przy 670 m ilość świateł stała się oszałamiająca. Czarna jak smoła woda pełna była iskier, błyskawic i nieustannie jarzących się lamp. W nieprzeliczonych masach pojawiały się najrozmaitsze barwy w coraz to nowych układach..."

Znakomity badacz podwodnego świata zobaczył po raz pierwszy świecące ryby głębinowe. Niektóre z nich, jak np. **Bathysphaera intacta**, posiadają wzdłuż ciała rząd 20 bladoniebieskich światełek i dodatkowo dwie czerwono-niebieskie „latarnie" — z przodu i z tyłu — na długich — 2-metrowych wyrostkach. Inne ryby jak np. **węzory** mają długie wąsy zakończone organami świetlnymi. Jeszcze inne wożą z sobą własną kulistą „lampę" umieszczoną na czymś w rodzaju wędki — tuż przed paszczą. Oczywiście w ten sposób zwabiają innych mieszkańców głębin, aby ich pożreć.

Jednak chyba najbardziej pomysłowo wyposażyła natura ryby z rodziny **żmijowców**. Posiadają one bowiem wspaniale iluminowane... wnętrze paszczy, w której świeci 350 kolorowych światełek! V.B. Dröscher w książce „Świat Zmysłów", z której zaczerpnęliśmy tę ciekawostkę tak pisze: **„Małe rybki i skorupiaki wpływają beztrosko w sam środek tego zabójczego przepychu, tak że ryba — jak w krainie pieczonych gołąbków — musi tylko przełykać od czasu do czasu".** (j.d.)

NIEZWYKŁE WIADOMOŚCI O... CZŁOWIEKU

● **W ciągu całego życia (przyjmując za średnią 70 lat) człowiek spożywa średnio 100 ton artykułów spożywczych, to jest mniej więcej 1250 razy więcej, niż jego waga wynosząca średnio ok. 80 kg.**

● **Tylko 1 procent jedzenia spożywanego przez człowieka w ciągu całego życia stanowią produkty pochodzące ze środowiska wodnego, gdy tymczasem wody pokrywają prawie 75 proc. powierzchni naszego globu.**

● **Bez jedzenia człowiek może przeżyć różny okres czasu, w zależności od stanu odżywiania, zdrowia itp. W radzieckiej praktyce naukowej znany jest okres przeżycia bez jedzenia 52 dni. Prasa amerykańska podawała przypadek przeżycia 117 dni — tyle głodowała kobieta pijąc tylko wodę i przyjmując witaminy. Cierpiąc na otyłość (ważyła 162 kg), po drakońskiej kuracji osiągnęła wagę 62 kg. Źródła nie wspominają, czy kuracja była trwała i nieszkodliwa dla zdrowia.**

● **W ciągu doby człowiek wdycha i wydala mniej więcej 13.000 litrów powietrza.**

● **Przyjmując, że człowiek robi średnio w ciągu dnia około 10.000 kroków, to przez 70 lat życia wykona ich przeszło 250 mln. Mógłby więc, idąc przez całe życie, obejść Ziemię wzdłuż równika około 5 tysięcy razy.**

● **Z 70 lat człowiek traci na sen przeciętnie 23 lata, na mówienie — 13 lat, a na jedzenie — 6 lat.**

● **Czysta skóra człowieka ma zdolności zabijania mikrobów, które znalazły się na jej powierzchni. Przykładowo, z 30 mln mikrobów, które znalazły się na czystej skórze po godzinie zostaje tylko 720 tys., a po 2 godzinach nie więcej, jak 7 tys. A więc kochani — czystość, to zdrowie.**

● **Najbardziej wrażliwymi na chłód miejscami ciała są u człowieka koniec nosa, końce palców rąk i nóg oraz okolice krzyża. W tych miejscach znajduje się najwięcej „czujników zimna", których liczba na powierzchni całego ciała osiąga liczbę 250 tys. Tymczasem „czujników ciepła" znajduje się tylko około 30 tys.**

● **„Czujników bólu" znajduje się w ciele człowieka od 2 do 4 mln, mniej więcej 100—200 na cm kw. skóry. Bez nich człowiek byłby narażony na ogromne niebezpieczeństwo — nie czując bólu, nie wiedziałby o grożącym mu niebezpieczeństwie najróżniejszych chorób i dolegliwości.**

● **Oczy człowieka wymagają treningu zanim zaczną rozróżniać kolory. Noworodek barw nie odróżnia i dopiero w 6—7 miesiącu życia zaczyna je rozpoznawać. Dorosły człowiek z normalnymi zdolnościami odróżnia do 10.000 odcieni barw.**

(Wg „BNT" PAP — bor.)

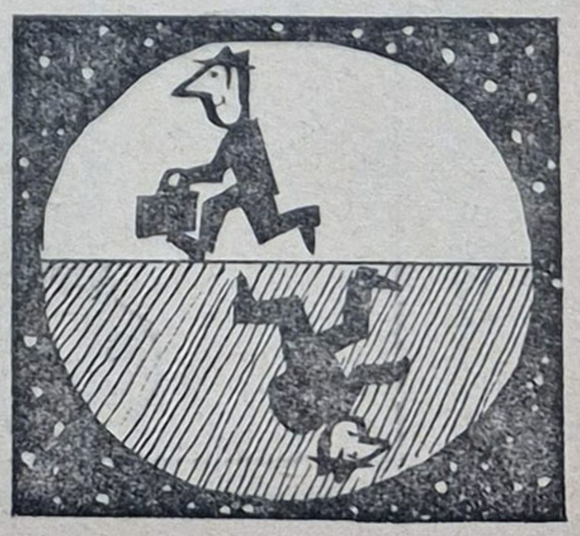

BOLEK i LOLEK
NA DZIKIM ZACHODZIE
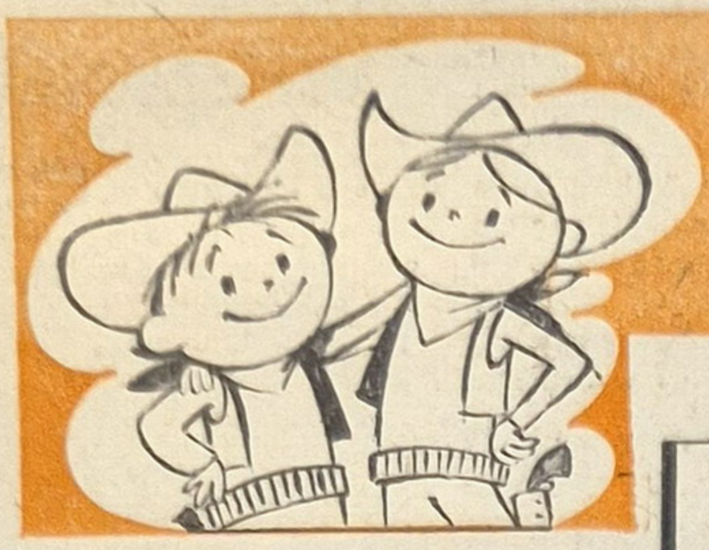
Scenariusz:
WŁ. NEHREBECKI
Rysunki:
ST. DÜLZ